



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

POGA WĘDKA.

Letni karnawał w całej pełni!... Mamy wyścigi na Mokotowie, wystawę na Ujazdowie, jarmark wełniany na Nowogrodzkiej, mamy wycieczki w okolice Warszawy, festyny, koncerty, bale pod gołym niebem, ogródkowe teatrzyki i gościnne występy: czegoż ci więcej trzeba duszo wrażeń chciwa?...

Przyznaję się, że na wyścigach dotąd nie byłem, a to z tej prostej przyczyny, że pomimo całej świetności dochodów autorskich własnego konia jeszcze nie mam i do klubu się nie zapisałem, cudzych tryumfów nie jestem ciekawy, na *sportsmana* nie pozuję, kurzu łykać nie lubię czasu nie mam na stracenie, a totalizatora boję się, jak wszelkich pokuszeń, od których wpływu wypraszałem się od dzieciennych lat w pacierzu.

Mam jednak dobrych przyjaciół, ludzi normalnie spokojnych, których wszelako sezon wyścigowy zmienia do niepoznania; ci pędzą na Mokotów z ogromną lorynetą polową na pasku, z programem, notesikiem, w kieszeni, z *macintoshem* na ramieniu i roznamętniają się do rozmaitych koni pełnej krwi i nie pełnej, stawiają zakładki, dyskutują głośno, spierają się i mają miłą naturalizowanych Anglików przez cały czas *goutu* na Mokotowskim Polu.

Szczęśliwi, że doznają silniejszych wrażeń tak tanim kosztem! Od nich wiem, iż tegoroczne wyścigi, t. j. do chwili, gdy pióro moje biega po papierze w wyścigu felietonowym samo z sobą, — nie odznaczyły się niczem szczególniejszem.

Na torze nie stanęła żadna czworonożna znakomitość, żadne słońce z grzywą i ogonem się nie zjawilo; świat piękny i szykowny na trybunach i w powozach, pomimo pogody, nie przyjmował jeszcze olśniewającego udziału. Zaden dzo-

kej nie wślawił się nadzwyczajną zręcznością; nawet zeszlórocznej *fiorai* w tym roku nie widać, zamieniającej kwiatki na ruble w oczach szykownych gogów warszawskich.

Totalizator tylko ma swoich stałych klientów, którzy próbują szczęścia końskimi kopytami i zgrywiają się, jak lat poprzednich.

Przeciw temu hazardowi powstawano całkiem słusznie w naszej prassie od samego początku, ale — (niekonsekwencjo, tyś z Warszawy rodem!), jedno z pism, które pierwsze ongi napadało na totalizatora, dzisiaj samo ułatwia mu sposobność wyłuskiwania ludzi z rubelków, drukując przed każdym wyścigiem przepowiednie ewentualnych zwycięzców.

Rozumie się, że ten i ów, daje się skusić i na wiarę pisma w sporcie biegłego, ryzykuje pieniądze w nadziei, że wygra cośkolwiek i stawki nie straci.

Czy to właściwe?... zdaje mi się, że nie i że pomaganie pośrednio totalizatorowi do jego operacji na torze nie powinno leżeć w intencjach pisma, mającego inne przecież cele przed sobą.

Wystawa inwentarza na Placu Ujazdowskim została otwartą w oznaczonym terminie t. j. w Sobotę popołudniu.

Ze względu na blizkie odstępy czasu, w jakich się te wystawy stale od kilku lat odbywają, nie podobna wymagać wielkiego urozmaicenia i szczególniejszych okazów, świadczących o postępie w hodowli. Dla ziemiaństwa, dla gospodarzy i hodowców, nastęrcza się wszelka sposobność wymiany zdań i załatwienia swoich interesów na gruncie wystawy, a zarazem dokonania nieraz korzystnych tranzakcji.

W obecnej porze wieś i tak zwykła oddawać wizytę Warszawie; jeden pretext więcej nie zawadzi.

Sezon „ogorzałych twarzy“ już się rozpoczął; idzie on w parze z końcem roku szkolnego, w którym mizeractwo młodzieży mundurkowej, ślęczą-

cej nad książkami i przygotowującej się do egzaminów ostatnich, dochodzi do zenitu.

Za dwa tygodnie wszelako znikną z bruku miasta i rumiane policzki wąsatych ojców i blade, wychudzone twarze gołowąsych synów. Z nastaniem wakacji Warszawka opustoszeje, jak ul wyrojony; na łonie natury będziemy wypoczywali, a w czasach kanikuly i pory ogórkowej z politowaniem będziemy wdychali na wspomnienie tych biedaków, którym los nie pozwolił wyprzążyć się z jarzma na miejskim, brukowanym deptaku.

...My (to się rozumie: ci wszyscy, którzy wyjeździemy na wakacje, na wellegiaturę, czy też na kuracyę).

— Niby to pan nie wyjeździesz? — słyszę już złośliwe zapytanie moich pięknych, a łaskawych czytelniczek, przyzwyczajonych co roku do moich niespodziewanych wycieczek bliższych lub dalszych.

— Ach, któżby się tego zarzekał po całorocznym pobycie w Warszawie i wyginaniu sobie grzbietu nad redakcyjnym biurkiem z piórem w ręku!... nie wiem, czy pojedą i dokąd; ale, że mam niemalą ochotę frunąć na trawę, o tem zapewnić chyba nikogo nie potrzebuję. Polecilbym się łasce Dr. Fritschego, ażeby mnie przez roztargnienie zmieszał ze swymi małymi kolonistami i wysłał gdzie pod jaki wonny las żywiczny, na pachnące świeżem sianem łąki, na pola złotym kłosemfałujące, gdzie powietrze rano miodem, a wieczorami żytnim chlebem zalatuje.

Nic-bym nie robił, tylko w trawie leżał, w niebo patrzył, brzęku muszek i szumu liścia słuchał i starał się zapomnieć, że mam ręce, u rąk palce, a w palcach, żem kiedykolwiek pióro trzymał.

Tak mi się ten wypoczynek — aż do lenistwa — uśmiecha!...

Dr. Fritsche się nie pomyli, do malców mnie nie zaliczy i miejsca nie zabierze żadnemu z bładych mieszczuszków, dla których zbiera już, zgarbia gdzie i jak może pieniążki na wakacyjną

wyprawę. Przyszedł mu z pocziwą pomocą p. Jawornicki, znany podróżnik do krajów podzwrotnikowych, który po powrocie z Afryki wystąpił u nas na katedrę, by w dwóch odczytach opowiedzieć słuchaczom o murzyńskim plemieniu M'Pangue mnóstwo ciekawych i nieznanych szczegółów.

Dochód z tych prelekcji przeznaczony był na kolonje letnie; szkoda, że wypadły one w porze tak spóźnionej i podczas dni gorących, kiedy na samo wspomnienie Afryki i tropikalnych upałów człowiek żałuje, że sam nie jest murzyńcem i nie może obywać się bez wszelkich przepisów mody i przyzwoitości.

Pan Jawornicki należy do rzędu turystów, którzy po świecie nie darmo podróżowali i pożytecznych wiadomości nie mało przywieźli; umie dobrze pięknie i zajmująco opowiadać, więc go posłuchać warto. Komitety odczytowe na Adwent lub Wielki Post powinny sobie nazwisko p. Jawornickiego zanotować już teraz.

Drugi zasilek na powyższy dochód przyniósł (piszę to *a priori*) wieczorek deklamacyjno-muzykalno — dramatycznie — tańczący w Resursie kupieckiej, urządzony głównie staraniem pań: baronowej Hartingowej, Franciszkowej Olszewskiej i Wincentowej hr. Walewskiej.

Programat wieczorku był tak suty, lista wykonawców tak sympatyczna, a cena biletów stosunkowo tak niska, że powinno było miejsca za braknąć.

Tylko że za dużo dobrego zważyło się na ten jeden tydzień: wyścigi, wystawa, festival we Frascati na dochód budowy własnego domu dla Towarzystwa Muzycznego, premiery w teatrach, a wreszcie zapowiedziany na niedzielę bal letni w Dolinie Szwajcarskiej z zabawą koncertową na dochód „Macierzyństwa“.

Bogil czemu nie robicie więcej cudów!.. jakżeby się w tych czasach przydał każdemu z nas ów czarodziejski mieszek, z którego można było zawsze wyciągnąć srebrniaka, ile razy się chciało.

Możnaby wtedy być wszędzie i uprzyjemnić sobie dzień za dniem, a drugim pomagać do spełnienia dobrych zamiarów.

Czytałem odezwe „Macierzyństwa“, z której dowiedziałem się, iż na utrzymanie jednego dziecka na wsi pocziwa ta instytucja potrzebuje 40 rs. rocznie, a na utrzymanie każdej matki w zakładzie 80 kop. przecięciowo dziennie. Jakoś to dotąd się udawało, dzięki zabiegliwości ruchliwego zarządu i ofiarności dobrych serc a pełnych kieszeni (ach, czemuż one nie zawsze w parze chodziły!), ale wydatki z każdym rokiem się zwiększają, wychowawców przybywa, a funduszów braknie.

O starannej opiece w przytułku świadczy to, iż na czterysta urodzeń nie było dotąd wypadku śmierci; z dobrodziejstw instytucji korzystały przeważnie ubogie mężatki. „Macierzyństwo“ tedy na niemało faktów na stwierdzenie swej pożytecznej działalności i racyi bytu, a temsamem zasługuje na poparcie ogółu.

Panie i panowie, chodźmy w niedzielę do Doliny!... Komitet bardzo słusznie zrobił, wzywając damy w imię oszczędności, aby nie przesadzały w strojach, ale wystąpiły w spacerowych lub wizytowych toaletach. Nie wiele to pomaga zwyczajnie.

Pewien stary mantyka mówił mi raz:

— Z tą oszczędnością toalet kobiecych, to tak samo, jak z ową zupą, którą cygan z gwoździa gotował; znasz pan tę anegdotę?

— Znam.

— Gwoździł tylko wrzucił do garnka z wodą, ale potem zażądał trochy masła dla okrasy, trochę soli i krup ze dwie garście, wymieszał wszystko razem i miał krupnik z gwoździa. W ten sam sposób „oszczędnie“ ubierają się kobiety. Niby to z płócienka, z perkaliku, z tarlatanu tylko robi się sukienkę, ale jak zacznie dodawać rozmaitych fatalaszek, guzików, wstążek, Bóg nie wie czego, tak ta przyprawa więcej kosztuje od samego materiału. Ale zawsze to mówi się, że... krupnik z gwoździa, a sukienka z niczego. Nie wierz pan oszczędnościom mody, bo moda jest marnotrawczynią z natury.

Ja też nie wierzę w owe „tanie a gustowne

sukienki, za pół darmo,“ bo ta druga połowa, którą się płaci w gotówce, najczęściej kosztuje tyle, że... ale poco mówić o drażliwych tematach!

Mówmy o sztuce, chociaż co prawda, ona do najdrażliwszych należy; wołę jednak ryzykować w tym kierunku, niż w poprzednim

Tandem w malarstwie mamy kilka nowości, godnych poznania na wystawach p. Krywulcia i w Salonie Towarzystwa. Przedewszystkiem, nie dużym rozmiarami, lecz jak sielska piosenka poezji pełnym, wydał mi się obraz Witolda Pruszkowskiego go, zatytułowany: „Z tamtego świata.“

Artysta wzięł temat z podań ludowych; w dzień zaduszny zmarła córka przychodzi z mogiły odwiedzić matkę spiącą w chacie i potem wraca znowu na cmentarz, do zimnego grobu, na którym płonie lampka wśród wędzącej darni.

Obraz malowany jest w kształcie tryptyku, z tą mieszaniną realizmu i fantazyi, która cechuje wszystkie dzieła Pruszkowskiego.

Stara matka śpiąca u okna w izbie, oblanej czerwonym blaskiem ampułki, płonącej przed świętymi obrazami, jest połamandzku realnie traktowana; stojący obok niej duch dziewczyny zdaje się być cieniem, mgłą, zjawiskiem nieuchwytnym; śliczną twarzą jej cechuje taki wyraz prostoty, melancholii, i miłości, tak się to biedactwo cmentarne skarży spojrzeniem i gestem rąk załamanych na swą niewolę u śmierci, że widzowi łączy w oczach się kręcą.

Niezapreczenie jest to najładniejszy obraz ze wszystkich, jaki twórca „Smoka“, „Gwiazdy spadającej“, „Na kwiatkach“ i tylu innych a zawsze oryginalnych dzieł dotychczas wymalował.

W „Salonie“ znajduje się obecnie duży historyczny obraz ruskiego malarza Makowskiego; przedstawia on śmierć Iwana Groźnego. Car przy party szachów dostaje porażenia i pada na fotel, przy którym z jednej strony kłęcz lekarz i usiłuje krew puścić konającemu, z drugiej przerażony błazen nadworny. Rodzina cara otacza go do koła, z boku wchodzi ślepa stuletnia matka Iwana, zwabiona wieścią o wypadku.

Figury przeważnie naturalnej wielkości, malowane z efektem, ugrupowanie zręczne, charakterystyka twarzy bardzo wyrazista.

W dziedzinie muzyki mam tylko do zanotowania wznowienie „Romea i Julii“ Gounoda w operze i występy dzielnego tenora włoskiego pana de Negri, z młodą primadonną panną Sofritti sprowadzoną umyślnie do Warszawy dla partyi Giuletty, jakgdyby wśród naszych stałych śpiewaczek nie było, na prawdę, odpowiedniej przedstawicielki.

Włoska primadonna nie jest znakomitością, ale nie jest też pierwszą lepszą śpiewaczką operową; jednak można się było bez niej obejść i zaoszczędzić owe 3.500 franków miesięcznej pensyi, którą Sign. Sofritti pobiera przez czas swoich występów, tem bardziej, iż wznowiona opera Gounod'a nie przyciąga publiczności i nie zajmuje tak, jak się spodziewano. Mniej natchnienia i namiętności w tem drugim po „Fauscie“ dziecku gunodowskiej muzy.

„Romeo i Julia“ umierają z miłości, ale słuchacz ma ochotę zdrzemnąć się przytem; podobno kompozytor zabrał się do przerobienia swego dzieła i zamierza je w jesieni wystawić w Paryżu dla poprawienia efektu, jaki jego opera przed dwudziestu kilku laty sprawiała. Nie mogliśmy poczekać?..

W balcie tańczy obecnie panna Zucchi, słynna mimistka, która według rzeczoznawców ma niezwykłą expressyą w nogach i wymowę; nie znam się na tem, ale przyznaję, że poraz pierwszy nie znudziłem się i nie zasnąłem na balecie, patrząc na tę piasającą Włoszkę i na jej gesta.

Wszystkie baletniczki robiły na mnie zawsze wrażenie lalki sprężynowej, automatu, który podrygiwał mniej lub więcej zadziwiająco, trylował nóżkami i młynkował rękoma.

Signora Zucchi mówi, czuje, myśli w każdym ruchu, jest zajmującą nie przez swoje kształty, ale przez grę całej fizjognomii.

To artystka prawdziwa w swojej sztuce; powiadają o niej, że odczuwa tak głęboko swoje mimiczne role, iż płacze w tańcu.

Dramat nie darzy nas obecnie nowościami; w porze urlopów i debiutów repertuar wlecze się leniwo. Reżysserya wybiera sztuki dla zapchania dziur; byle co — wszystko dobre.

Teatryki rozpoczęły kampanią w trzech punktach. Alhambra zajął p. Dobrzański i Sp., Belle-Vue p. Puchniewski, Wodewil na Nowym-Swiecie p. Texel. Najszykowniej wygląda ten ostatni — (teatryk, nie dyrektor); — odświeżono go, odnowiono, odlakierowano i urządzono z komfortem na sposób zagraniczny, a że piwo dobre a kuchnia smaczna, więc Melpomea przy bufcie z wódką i butersznytami, może zrobić dobry interes.

Jak przewidywałem, tak się stało; ani sił wyjątkowo dobrych, ani repertoaru starannie ułożonego nie ma żadna z tych scenek. Wszystko mierność. Dopiero plon konkursowy na sztukę ludową i melodramat mieszczański ma wyprowadzić panów dyrektorów z kłopotu. Tymczasem, oile mi wiadomo, a raczej oile wolno mi być niedyskretnym, jako członkowi sędziowskiego aeropagu, spodziewanego arcydzieła na konkurs nie nadeszło. Trzydzieści sztuk ubiega się o nagrodę, której chyba nikt nie dostanie; jednakowoż konkurs bez laureata, dostarczy ogródkom dosyć materiału na bieżące potrzeby, a że „na bezrybiu i rak ryba,“ więc nawet nie nagrodzone sztuki przydadzą się scenom ogródkowym.

Zawsze będą one lepsze od przeróbek i poronionych elukubracyi autorów od siedmiu boleści, którym się zdaje, że nic łatwiejszego, jak wykroić dziś sztukę według szablonu Anczyca lub Galasiewicza.

Tych pismaków mnoży się z każdym rokiem coraz więcej; fabrykacja idzie na wielką skalę, pisze się dramce w szesnastu obrazach z tytułami, przypominającymi czasy „Rinalda-Rinaldiniego.“

Wszystko to dobre... na podpałkę do pieca.

Miałem nadzieję, że pogawędkę zakończę czemś wesołym, ale oto telegram przynosi alarmującą wiadomość o pożarze Nowego-Dworu. Miasteczko drewniane w okolicy twierdzy Nowogorogiewska (Modlina), zgorzało ze szczętem; płomień w perzynę obrócił wszystko, zrównał z ziemią, oszczędził tylko kościół i magistrat.

Dwa tysiące biedaków pozostało wśród ruin i zgliczszy bez dachu i chleba; a co gorsza: nie będą się mogli nawet odbudować, bo Nowy Dwór leżał w obszarze fortyfikacyjnym.

Pierwsza to wieść Hiobowa w tej porze; oby ich więcej licho nie przyniosło!

Quis.

DO RODZICÓW.

(Dokończenie).

Kilkanaście ostatnich lat doświadczenia w sprawie pozadomowej pracy kobiecej wykazało, że bardzo mało gałęzi tak zwanej nowej pracy, przyniosło kobiecie korzyści spodziewane. We wszystkich tych gałęziach przemysłu rzemieślniczego, gdzie stawała do współzawodnictwa z mężczyzną, powiodło się jako tako — wyjątkom tylko. Gdzie ta praca wymagała sił większych, niż je posiada kobieta normalna, naprzykład w szewctwie, w introligatorstwie niegalanteryjnym, kobieta musiała wzywać pomocy męskiej i wtedy stawał się to jedynie przedsięwzięciem, prowadzonym przez kobietę, co praktykowało się nieraz i dawniej, gdy wdowa, lub córka doletnia odziedziczała po śmierci męża, czy ojca warsztat pracy rzemieślniczej i przy szczególnej energii, przy szczęśliwej sile charakteru, prowadziła go z pomocą czeladników mężczyzn. Ogółem biorąc, w zakresie rzemieślniczoprzemysłowym otworzyło się kobiecie bardzo niewiele i mniej znaczących dróg pracy nowej, przecież w obec ogólnego rozwoju przemysłu krajowego zyskała tu i ona na możliwości zarobkowania. Kwaciarsstwo nasze wypchnęło

zupełnie towar zagraniczny i nawet pracuje na wywóz. Koronkarstwo, które przyjęło się nader szczęśliwie w czasie bardzo krótkim, daży do tego i już w znacznej części celu dopina. W zakresie gatunków nie najwytworniejszych, które też przy naszym stanie ekonomicznym nie mogłyby liczyć na zbyt znaczniejszy, już produkcja nasza starczyłaby najzupełniej zapotrzebowaniu, i tylko handlarstwo niektórych osób, mało się liczących z obowiązkami obywatelskimi, wprowadza towar obcy na nasze rynki zbytu.

Praca artystyczna, stosowana do przemysłu: malarstwo, rzeźba, daje też kobiecie pewne pole zarobkowania, jak o tem świadczą wystawy nasze; ale jesteśmy społeczeństwem ubogiem, więc pokup na te przedmioty natury wytwornej jest u nas ograniczonym, a i tu towar zagraniczny, jako przemysł starszy i przy większym ruchu handlowym tańszy, produkcję naszą podkopuje i rozwinać jej się nie daje.

Sztuka właściwa i literatura nie zaliczają się już do pola pracy, roztrząsanej z punktu względów ekonomicznych. Talent stanowi i stanowił od wieków komu jest wolno miejsce tu zajmować i ztąd, że potrzeba tu powołania, praca literacka i artystyczna nie daje się zaliczać do zawodowej. Ale jest nią praca nauczycielska, którą nazwać można macierzyństwem duchowym, i ta też z natury rzeczy tak na dział pracy kobiecej przypada, że wszędzie i od najdawniejszych czasów kobieta zajmuje się nią bezspornie. Dziecko należy do kobiety; ale u nas dzieje się pod tym względem coś nienaturalnego, co można nazwać anomalią w jednym z najważniejszych, zasadowych punktów naszego życia rodzinnego. Pierwszą po matce wychowawczynią i nauczycielką naszego dziecka jest w znacznym bardzo procencie cudzoziemka. Jak się to mogło wyrobić w społeczeństwie naszym, którego zkażadą nie można pomawiać o brak uczucia, sprzeczącego się z tem najsilnie? Było by to zagadką, gdyby nie przekonanie, że gra tu rolę pewna ociężałość myśli, która sobie nie zdaje sprawy ze skutków tak prowadzonego wychowania, ponieważ nie wykazuje się one w sposób dotykany, materialnie uderzający.

Ile strat dziecko tu ponosi i jak ważnych, można by o tem tomy całe zapisać, a błogosławioną byłaby ręka, dokonywająca tego. Najpierw umysłowość dziecka cierpi i męczy się nie mało, ponosząc nienaturalną pracę uczenia się razem dwóch języków, bo każdy przecież, kto choć trochę zastanowi się umie, wie, że i rodowitego języka dziecko się uczy wtedy, gdy dla corazto nowych, nieznanym mu przedmiotów, dla coraz nowych wyobrażeń i postaci myśli wyrazu sobie szukać i zdobywać go musi. Jest to pogładowa nauka natury, a że w planie jej nie leży dwujęzyczność dziecka, więc musi ono albo spracowywać się przytem nadmiernie, albo cała ta siła kielkującego rozumku, która miała się stać postrzegawczością, urabianiem sobie pojęć, pójdzie na służbę pamięci i wcieli się w nią całkowicie z krzywdą inteligencji, nierozbudzanej, zostawianej odlogiem. Nikt nad siły nie pociągnie i żywotność umysłu dziecka jedną stroną zbytecznie, nienaturalnie pracującą, musi na pozycyi drugiej bezwładną pozostawiać, jeżeli nie ma nastąpić wysilenie szkodliwe pod względem albo fizycznym, albo umysłowym.

Zdaje się, nie tym przecież, którzy się nad wychowaniem zastanowić umieją, że uczenie małego dziecka mowy obcej nie forsuje, bo z książki prowadzonym nie jest; ale metoda to tylko inna, rzecz przecież nie zmienioną zostaje. Dziecko się uczyło, skoro się nauczyło — to dowód jest i niezbity, a że łatwo, i bez szkody dla niego, to zdaje się tak tylko obserwacji powierzchniowej, widzącej rezultaty, które są, a nie umiejącej przedstawić sobie i przewidzieć tych innych, które być mogły. Ileż to jest stopni w rozwoju i wyniesieniu się umysłu człowieka, i kto wie, jak wysoko-by się posunął, gdyby dobrze, to jest: naturalnie, był prowadzonym, jaką dzielność i siłę-by rozwinał, jakim blaskiem zajaśniał?

Biorąc rzecz z punktu najniższych już słabostek rodzicielskich, jeszcze zrozumieć można taką naukę języka francuzkiego, bo tu

chodzi, dla względów salonowej elegancji, o akcent doskonały, ale dla czego uczymy tak dzieci nasze niemczyzny? na to odpowiedzieć już trudno. Ze niemiecki język jest wielce potrzebnym człowiekowi wyższego wykształcenia, że jest potrzebnym dla niemieckiej głębokiej nauki, dla bogatej niemieckiej literatury, to rzecz nieulegająca wątpliwości. Ale dla tego względu można a raczej potrzeba, uczyć go się we właściwym czasie, tak, jak innych przedmiotów potrzebnej nam wiedzy. Ze zaś Niemka jako wychowawczyni naszych dzieci jest anomalią i sprzecznością najwyższą, to każdy już zrozumie. Ze względu na uczucie, które od małego kształcić należy, sympatyczną i miłą dziecku naszemu być ona nie może, nie powinna, więc jakże to pogodzić? Sciera się w młodem sercu uczucie owo — tępieje, rdzewieje, zanika nakoniec w całości, bo takich rzeczy kawałkami się nie zachowuje. *Aut... aut...* Na szczęście, plaga Niemek bon, które z punktu moralnego widzenia rzeczy znaczą może więcej niżeli nauczycielki, bo są pierwszymi po matce wychowawczyniami dziecka — nie grasuje ogólnie, nie dotyczy o tyle rodzin wiejskich, i głównie przejawia się wśród miejskich.

Zastąpienie bony cudzoziemki rodaczką byłoby rzeczą niezmiernie ważną w ekonomii naszej moralnej, a każdy już zrozumie, że byłoby to ważnym i w ekonomii pracy kobiecej — w rubryce jej zarobku. Jest zapewne w kraju naszym parę, może kilka tysięcy, cudzoziemek tak zajętych: otóż należy się starać o to, aby ich miejsce zajęły kobiety nasze, znajdując sobie w ten sposób szerokie pole dla pracy na chleb, zaradem wiele pożytecznej i doskonale odpowiadającej kobiecie pod względem wszelakim.

Powtarzam też, że należy pracownikom naszym zdobyć sobie to stanowisko, które jest nie tylko polem zarobku, ale i zasługi obywatelskiej, przez usunięcie cudzoziemki. Ale trzeba im odpowiednio do tego się uzdolnić i w kantorach stręczeń zapisywać się wyraźnie jako bony, co oznacza osobę wykształconą nieco wyżej niż prosta piastunka, ze znajomością potrzebnej tu metody pogładowej i wspierającą ją wiadomościami. Cudzoziemka daje dziecku naukę jakiegoś obcego języka; ona powinna to zastąpić wprowadzeniem w umysł dziecinny pewnych elementarnych wiadomości o świecie w sposób, który się zowie metodą freblowską, a dziecku nieco starszemu dać w bajce, w historyjce opowiadanej coś pierwszej wiedzy geograficznej, historycznej, na wzór tego, jak czynią to książki, pisane dla małych dzieci. Dziecko jest z natury ciekawe i jeżeli tylko rzecz będzie umiejętnie prowadzona, ze znajomością i miłością dziecka, stać się może dobrem przygotowaniem do nauki już właściwej przez otworzenie dla niej umysłu dziecinnego, bez obciążania go datami, bez słuchania go jakiegokolwiek egzaminu z tego, co mu się wiedzieć dało.

Niech umysł jego taksamo się oświeca, taksamo w ruch myśli wprawia, jak się oświecało dzieciństwo ludzkości, narodów — przez bajkę, która uderzy wyobraźnią, tę najpierw w człowieku budzącą się władzę umysłu, a przez nią niech umysł nauczy się przyjmować naukę. Osobiste zachowanie się dziecka w stosunku do ludzi i zwierząt, to, przy rozumnej na to uwadze i dobrem pokierowaniu, pierwsza nauka moralności — podkład dla uczuć i myśli, które się w młodej istocie powinny znaleźć. Bona to, jednym słowem, zastępczyni matki i pierwsza po niej wychowawczyni dziecka — i maż nią być cudzoziemka?

W zawodowej pracy kobiecej byłaby to, obok nauczycielstwa, jedna z jej gałęzi najważniejszych i ztąd bardzo cenna, że nie wyciągałaby kobiety poza ognisko rodzinne na życia koleje niepewne, gdzie ją czekają przejścia zawsze trudne, a jak wiemy już obecnie z pozyskanego doświadczenia, niedające tego, co obiecywały. Samodzielność jest w tem, aby o własnej pracy siłę w życiu stać, własną pracą siłą w życiu się utrzymać; ale pożądana przytem niezależność osobista, którą obie ywał kobiecie ruch idei emancypujących ją jakoby z więzów, przykuwających

do domu, do ogniska rodzinnego, nie okazał się tem w praktyce, czem w teorii się ogłaszał. Wielki, a już zupełnie bezstronny tego dowód wyszedł obecnie ztamtąd, zkażad dotychczas otrzymywaliśmy najsmielsze teorie emancypacji kobiecej — z Ameryki, z łona zebranego tam kongressu kobiecego, w którym i Europa brała udział przez delegatki wszystkich niemal krajów, wszystkich narodowości.

Julia Howe, z domu Ward, pisząca się zwykle dla zaznaczenia swej emancypacyjnej niezależności: Ward Howe, prezydentka kobiecej *Ligi Pokoju* w Ameryce, to jest należąca aż dotąd do najbardziej zapalonych zwolenniczek emancypacji kobiecej, będąc przecież osobą uczciwą i rzetelnie dobrej woli, wystąpiła z silną krytyką tych swoich zasad dawnych, których zawodność dała jej się poznać w praktyce. Ona to, która, według jej słów własnych, była „najgorętszą adwokatką praw kobiety“ (a most ardent defender of hers rights), wzywa kobiety, aby się trzymały z całej siły uchlony domowego dachu, ogniska rodzinnego, bo życie tam pędzone jest zdrojem, z którego wypływają wszystkie cnoty kobiety (the fountain of all her virtues). Kiedy Purytanie angielscy ratując swą niepodległość religijną i społeczną rzucili stary grunt ziemi ojczyznej i przenieśli się na inną półkulę świata, aby tam stworzyć sobie Nową Anglię, ich kobiety były „poważne, surowych obyczajów, bojące się Boga i kochające bliźnich, pracowite, oszczędne“, (industrious, economical). Zaznawały mało przyjemności, nie wiedziały, co to jest zabawa; ale z upływem czasu zapanował między nimi łagodniejszy pogląd na ziemskie obowiązki. Dzieci były chowane mniej surowo, pozwolono młodości używać wiosny życia, a zwłaszcza dwóm ostatnim pokoleniom daną została swoboda, z myślą, że rozwija ona osobistą siłę charakteru i czyni wolę mocną. Przecież obok tych przymiotów zaczęły występować i wady, w których, pyta się Mrs Howe, czyż nie kryje się niebezpieczeństwo dla przyszłości, tak ich, jak narodu? Dziewczęta stroją się, bawią i kokietują; życie domowe zaczyna wydawać im się nudnem (dull) praca w jego kole uciążliwą. Być małżonką niebogatego człowieka, żyć bez przyjemności towarzyskich, bez przyjęć i zabaw, wydaje im się nieszczęściem i nie wdychają za takim losem: ztąd też coraz mniej za maż idą, bo i poszukiwaniami tak nie są, jak niegdyś, gdy się żenioną z najuboższą, lecz szczęście życia mogącą zapewnić dziewczyną. Dziś mężczyzna lęka się małżeństwa, czując, że szczęście to musi tu być kupowane na wagę złota, a panna, która nie pragnie być gospodynią swego męża (The housekeeper of her husband), idzie potem pracować na chleb i chlubi się swą niepodległością.

— Czy to przecież prowadzi do szczęścia? — pyta Mrs Howe. „Mimo tych wszystkich koryści, jakimi pyszni się kobieta amerykańska, iż została uznana za współpracownicę mężczyzny (co-labourer of man), nic jednak nie zdoła wynagrodzić jej straconego szczęścia małżonki i matki, które jest rzeczą wyższą nad wszelkie honory, do których podnosi się dumnie. I jeżeli nie będziemy wychowywać córek naszych do ich posłannictwa (rodzinnego), poniżymy je w oczach Boga i człowieka.“

Długiej tej mowy podawać tu trudno. Mrs Howe zakończy ją wskazówkami dla matek, które, pragnąc szczęścia córek, powinny je od najmłodszego wieku wychowywać w ideach kobiecości, poświęconej domowi i rodzinie. Aby mogły ukończyć takie życie, trzeba je wkładać od dzieciństwa do zajęć gospodarskich, przyzwyczajając je do nich, stawiać im przed oczy cele wyższe i ciche szczęście, płynące z tego źródła. Książę Albert, maż królowej Wiktorii, miał to przekonanie, które stało się przewodnią ideą wychowania królowien angielskich: i oto widzimy teraz że cesarzowa Wiktorja zna się na kuchni, umie nawet gotować i to zajęcie się domem, uczucie potrzeby, uznanie tego za wysoką cnotę rodzinną, czyni ją teraz tak szlachetną, tak dobrą żoną chorego męża.

Nie nudzi jej się w domu, dlatego, że umie znaleźć w nim sobie dość zajęcia; a że obok tego

cesarzowa Wiktorya jest kobietą wyższego wyrobienia umysłu, kobietą pewnych uzdolnień artystycznych, świadczą już to, czem Niemki prześladować ją chciały, nazywając *Michalem Aniołem*.

Mrs Howe w mowie swojej zwróciła jeszcze uwagę i na fakt, że kobiety dzisiejszej generacji są wogóle słabsze i mniej od dawnych wytrzymałe na trudy i pracę życia; że im potrzeba wygod i pieśczęt, nieznanych dawnej kobiecie dlatego, iż siły jej rozwijała praca przy rodzinnem ognisku—gospodarstwo domowe. Dziś córki pieśczętliwiej wychowywane już też i szczęśliwymi być mogą, tylko jako małżonki ludzi bogatych, bo im potrzeba żyć w wygodach, jakie tylko bogactwo i wysokie położenie męża dać może.

— But does this lead to happiness?—mogłaby powtórzyć poraz drugi mówczyni, która zakończyła rzecz swoją tem, że kobieta, której ciężą więzy domowego życia, jeżeli nie może ono zadawałać wymarzonych jej potrzeb i pragnień, które żywi, przestaje kochać męża, przestaje kochać dzieci i zwrócona wtedy całkowicie myślą na siebie, staje się egoistką.

Emancypacją kobiety nazywa też, jak ją przekonało doświadczenie, wyzowaniem się z natury niewieściej, pilnowaniem samolubnem własnego tylko interessu, co zwolna staje się drugą kobiety naturą: inną, niż dawna. Aby się o tem przekonać, trzeba widzieć, tak, jak to jest w Ameryce, drugie już pokolenie kobiet emancypowanych. Ta, jakiej używają, doskonała wolność, wydaje samolubstwo. (That perfect freedom engenders selfishness).

Te myśli kobiety, która nie może być posądzoną o złą wolę w sprawie, której była przez wiele lat rzecznikiem, powinny zwrócić na siebie uwagę naszych rodziców. Długą, przeszło godzinę trającą mowę Mrs Julii Ward Howe można tak streścić:

Najważniejszym zawodem kobiety jest być żoną i matką u domowego ogniska: w tym zawodzie jest ona najszczęśliwszą, w tym zawodzie jest ona najlepszą. Niech tu będzie rządzoną i pracowitą, niech się skromnie zadawała tem, co posiada, niech umie czuć się szczęśliwą bez zbytku i wykwintu: a znajdzie zawsze na drodze swojej miłość uczciwego mężczyzny, który ją uczyni współniczką swej doli i niedoli, a w tem życiu we dwoje ona zapewni i w zamian otrzyma szczęście.

M. Ilnicka.

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Wanda nie zmużyła też oka przez całą tę noc. Niespokojna była, przeczuwająca coś złego, czego jednak wcielić nie umiała w przypuszczenie żadne; ale to właśnie udręczało ją najmocniej, na podobieństwo tych widm bezkształtnych, które męczą ludzi w gorączce. Jest coś straszniejszego, coś okrutnego, co się ku nam posuwa, a przeciw czemu niema żadnej obrony, bo nie może być walki z tem, co jest nieujęte, niepochwytne. Przeleżała noc wśród myśli niespokojnych, wśród domysłów najrozmaitszych. Czy prezesa nie miała na Rudawicy należności jakiej, i nie groziła teraz procesem, wyrzuceniem p. Michała z gniazda starego? Mogło to być... Prezes mógł przyjść kiedy z pomocą przyjacielowi, summa mogła pozostać niewindykowaną z rozkazu jego woli ostatniej; lecz teraz prezesa, pragnąc zemsty, przysłała tu pana Romana z groźbą...

Co ona nieszczęśliwa, zrobiłaby wtedy ze sobą?

Musiałaby ztąd wyjść, rzucić ten dach, jedynie jej miły na świecie, i iść na tułaczkę między ludzi obcych... Ale wracać w tył... nigdy... Dość już przeżyła lat niewoli, a przytem, coby ją tam czekało? Roman Kalinowski teraz jej się stał z niemiłego—nienawistnym.

Roila, marzyła rzeczy najboleśniejsze—ucieczkę z zatarciem śladów poza sobą, ciężką, samotną pracą na chleb, i z pierwszym promieniem słońca, podniosła się z łóżka. Myśl pójścia gdzieś w świat—gdzieś, gdzie ją oczy poniosą. Już jej ucieczki nie dała. Miała gorączkę; odziała się ledwie, kručze włosy odrzuciła w tył na plecy, a pragnąc chłodnego wiatru dla bolącej głowy, dla palających skroni, wyszła w ogród i niespodziewanie ujrzała Stanisława.

Zobaczyli się razem oboje, ale ona pierwsza posunęła się ku niemu. — A — rzekła — wstałeś pan rano... niemogłeś spać, a dlaczego?

Patrzyła w niego badawczo i niemal groźnie—gniewnie. — Nie kłam pan przede mną tak jak wczoraj—rzekła prędko, zanim on coś odpowiedzieć zdążył. — Nie kupowaliście żadnego wołu, ani osła, pojechaliście wprost do Kołubiela i siedzieliście, tam jedynie, do wieczora. Nie kryję się z tem, że poszła wczoraj na folwark wypytwać Wacha, który was wziął. Kobieta uczy się szpiegować was dlatego, żeście z nią nie-szczery. Rozstrzygniecie za jej plecami rzeczy najważniejsze—rzeczy, które jej dotyczą...

Stanisław stał zmieszany. Czuł, że biedna dziewczyna ma słusność. Jej czarne oczy, które gorączka rozszerzała, przenikała go.

— Mów pan, mów prawdę—zawołała.—Czego tu chciał p. Roman Kalinowski—czyim był posłem i w jakim interesie przyjeżdżał?

— Że od prezesa, to wiem, ale czego chciał?

Stanisław musiał coś odpowiedzieć.—Chciał powrotu pani do ciotki—rzekł też smutnie—powrotu pani, którego się ona domagać chce przez urząd...

— Nie ma do tego prawa....

— Ale ma stosunki, ma je głównie p. Roman....

— I groził, że ich użyje.... Nędzny, nikczemny człowiek, który w ten sposób chce sobie zyskać prawo do kobiety! Ale wolę raczej grób, niżeli paść w jego objęcia nienawistne.... Stałabym się krwawą, jak Medea.... mordowałabym....

Ale uniesienie to było jednego momentu, jednego wybuchu rozpacz i biedna załapała się zaraz strugą łez gorących. — O, sieroca ty dolo moja... jęknęła — dolo moja, nieszczęśliwa od dziecka! Rodzice oddali mnie tej kobiecie zimnej i pysznej dla jej grosza, dla majątku, a ja wolałabym teraz oto być tą dziewczką niebogą, którą tam w siole za ogrodem śpieszy się teraz na łąki, siano grabić...

Przecież i ta gorzka żalność nad sobą minęła równie prędko, jak namiętne uniesienie przeciwko człowiekowi, którego nienawistna miłość ją ściagała. Uczucia przepływały jej przez serce, jak obłoki, wiatrem pędzone, przez niebo jesienne, ale usiłowała panować nad sobą, czując właśnie, że panowanie to wymyka jej się, że ją opuszcza. Zamilkła na chwilę, aby skupić myśli, odzyskać ich równowagę. — Panie Stanisławie — rzekła w końcu — zrozum ty położenie moje. — Cóż się dzieje, co się odbywa, co mnie dotyczy, czego ja jestem przyczyną główną i co też obchodzić mnie musi najsiłniej, i ja to wiem, domyślać się tego muszę, a jestem przecież zostawioną w niewiadomości szczegółów na to tylko, aby się mიაтаć w myślach niespokojnych, jak ptak zamknięta w klatce ciemnej. Nie bój się pan, abym wam szlochała, spazmowała, cokolwiek bądź usłyszę. Czasy są twarde i kobiety nauczyły się już cierpieć tak, jak wy — w milczeniu! Ale niepokój, to właśnie rzecz najtrudniejsza do zniesienia pocichu. Noc całą udręczało mnie piekło wizji i przypuszczeń najokrutniejszych, co to jest — to coś, zbierające się po za czarną ścianą niewiadomości i domagam się też teraz od pana prawdy — jasności w tem, co zaszło...

Lica jej gorzały, a on patrzył na nią wzruszony; czuł, że biedna mówi prawdę, ale cóż miał jej powiedzieć? Czy to, że z jej przyczyny czło-

wiek jeden padnie może jutro, lub pojutrze—trupem...

Podnosił na nią oczy i spuszczał, aż w końcu zdecydował się na wyznanie prawdy połowicznej, w którym, jak sądził, znajdzie nieboga to, co ją uspokoi, choć w części. — Panno Wando — rzekł — chciej mi wierzyć, i wyrób sobie przekonanie, że mówię prawdę. Jak jestem człowiek uczciwy, tak nie masz potrzeby lękać się sercem o nic. Ani tobie, ani nikomu z drogich ci, nie grozi niebezpieczeństwo żadne. Pan Roman odjeżdżał wczoraj głównie uniesiony złością bezsilną...

Ona patrzyła w niego uważnie; on, chcąc utwierdzić w niej wiarę w słowa swoje, spojrział jej też w oczy swemi pięknymi, błękitnymi źrenicami. Świecił w nich wyraz szczerości, która nigdy obok kłamstwa się nie miesi, świeciła z nich szlachetna prawość charakteru, niezdołnego do przewrotności. Taki człowiek zmuszony mówić rzecz nieprawdziwą, nie śmie patrzeć prosto w twarz drugiego człowieka. Wanda to zrozumiała, ale zarazem uderzyła ją rzecz inna. Jakie sine obrączki podkręzały oczy Stanisława...

Spojrzała na niego raz drugi i dostrzegła, że był błąd — bledszy niż zwykle, a przypadek chciał, że spojrzała zarazem i w stronę jego pokoju, bo rozmawiając, postąpili nieco w ogród i ona miała prosto przed oczyma okno jego alkierza, a w niem ujrzała dwa, przy jasności dziennej blado migające się płomienie świec, które się dopalały w lichtarzach. — Pan nie spałeś noc całą... zawołała — nie kładłeś się wcale?

Patrzyła w niego badawczo a jemu przeszedł lekki rumieniec po licu. — Nie... odparł zmieszany — tylko wstałem wcześniej...

— Kiedy? zawołała. — Świece dopalają się już i musiały się palić przez godzin kilka, najmniej od północy...

— Nie kładłeś się pan — ciągnęła dalej, jak inkwirent i jak inkwirent patrzyła na niego. — Pala się dwie świece i na biurku, więc pisałeś pan...

Z własnych jej słów występował jej przed umysł obraz coraz to rosnących przypuszczeń. To, co Stanisław powiedział jej przed chwilą, dołączyło się do tego. Kazał jej być spokojną, dał jej słowo uczciwości, że w tem, co zaszło wczoraj, nie chodziło o nikogo z drogich jej osób, więc o coż tedy? Nie powiedział jej jednak — nie śmiał powiedzieć kłamliwie, że nic się nie stało. Najpierw nie byłaby mu uwierzyła, powtóre i on nie byłby mógł zaręczyć jej za to słowem swoim: więc powiedział tylko, że nie chodzi o nikogo z drogich jej...

Chodziło o niego... była teraz tego pewną. Chodziło o niego i miało to jakiś związek z bytnością p. Romana...

— Wiem co to jest za sprawa, względem której sądzisz pan, że mogę pozostać obojętną — zawołała zaraz. — Będziesz się pan bił z p. Romanem...

— Nie przecz mi pan, widzę już wszystko jak na dłoni. Tamten, który jest człowiekiem zuchwałym i pogardliwym w obec ubóstwa, okazał się dla ubogiego, bezbronno starca impertynentem, chciał go nastraszyć, sponiewierał może jakim gburowatym wyrazem pychy swej nędznej, wyższości bogatego nad ubogim. Może groził, i pan, któryś się znalazł pomiędzy nimi — pan, któryś jest szlachetnym, zacnym młodzieńcem, pan się ujął za biedakiem, który nie ma przy sobie syna...

Mówiła jak jasnowidząca. Kobiety bywają nieraz tak przewidującymi, bo gorące, żywe uczucie staje się w nich intuicyą. Odgadują rzeczy zakryte mocą tego drugiego wzroku, który wynika ze spotęgowanej siły uczucia.

— Ujął się pan za biednym p. Michałem — ciągnęła Wanda, nie dając sobie przerwać Stanisławowi. — Ujął się, zapalając się może przez oburzenie szlachetnej twej natury i nastąpiło wyzwanie... W tym to interesie jeździliście wczoraj... dla tego pisałeś pan całą noc...

— Biedny p. Michał szukał panu sekundantów... dołożyła i nagle wybuchnęła płaczem.

— I to nie ma mnie nic obchodzić i to nazwa-

leś pan rzeczą, w obec której mogą pozostać objętą, bo interessowaną nie jestem osobiście... zawołała z goryczą.

— Jestem nietylko nieszczęśliwą, ale i niosę za sobą zarazę nieszczęścia. — dodała, a rozpaczała prawie przeniknęła jej serce, bo cóż miała, cóż mogła uczynić w obec tego, co barbarzyńskie jakieś pojęcie honoru uczyniło jedynym rozwiązaniem spraw, niepodchodzących pod zwykły wymiar sprawiedliwości... — O biedna ja... jęknęła i zalała ręce, a Stanisław stał przed nią wzruszony. Nie śmiał jej zaprzeczyć, a gdy zaczął się wysilać na to, ona uczyniła niecierpliwy ruch ręką. — Nie czyn pan tego, co musi pozostać bez skutku — rzekła. Nie uwierzę panu...

Zaczął się też robić ruch wkoło domu. Dzieńczęta, mające pleć warzywo, pokazały się w głębi ogrodu i Wanda cofnęła się do swego pokoju. — O Boże! Boże, ojczym mój! miej Ty litość nade mną sierotą... zawołała, padając na kolana przed krzyżykiem, który p. Roza zawiesiła jej nad łóżkiem.

Ale potem podniosła się i zamysliła. Czy ona tu nic nie może? Czy jest bezsilna i musi się zgodzić na to, co los przyniesie?

Gorączka już ją opadła, ale w to miejsce wystąpiła siła i energia charakteru sieroty, która musiała od dziecka skupiać się w siebie. Przysłowie mówi, że „Bóg nad sierotką“... ona też podniosła oczy ku górze — prosiła w milczeniu Boga, aby jej zesłał natchnienie dobre.

Po południu, wkrótce potem, gdy wstano od stołu, przy którym tylko p. Michał umiał rozmawiać i nie pokazywał po sobie nic, co mógł mieć na sercu, przyjechali goście: pp. Kościeszka i Żegota. Po przedstawieniu się gospodarstwu przeszli prawie zaraz do pokoju Stanisława, do którego, jak oświadczyli, mieli interes. Kościeszka był ubrany odświętnie i prezentował się jak ktoś, co przybywa z wizytą, ale Żegota zachował sukmanę i wysokie juchtowe buty. Było to w nim może dumą skrytą, że nigdy nie przestroił się inaczej i właśnie pokazując się między ludźmi udawał prostaka większego, niżeli był, ale dusza to była bardzo szlachetna, pełna siły i darów poezji. Serce mu płakało mu niegdyś w pierśsiach, że szkół kończyć nie mógł, bo nie było o czem, i ojciec mu zaniemógł, więc potrzebnym był w domu. Teraz już rodziców nie miał, siostrom część posagu oddał, a resztę zbierał, ciulając grosz po groszu i pracując w pocie czoła, robiąc za czterech, byle się przy ojcowiznie utrzymać. Na jeden tylko zbytek sobie pozwałał, a to, że co rok jesienią po sprzączeniu już całkowicie i siebie skończonym, do Wilna się wyprawiał. Ruszał pieszo, z kijem w rękę, ze skórzaną torbą, zawieszoną przez ramię, w której był chleb, ser i wędzona słonina. O tem żył w drodze, którą odbywał całą pieszo, a choćby był mógł na konia sięść, bo go miał, nie chciał. — Zwierzę też od poczynku potrzebuje... mówił. — Koniska się napracowały dla człowieka przy zwózce, przy bronie: niechże teraz sobie na pastewniku przy słonku jesieniem swobody żają. Bóg daje nawet ziemi wypoczynek; zimową porą wywczas ma, nie robi nic aż do tej chwili, póki jaskółka nie przyleci i słonko zasianego ziarnka w niej nie ruszy — trzeba też świętowania jakiegoś i zwierzęciu.

Mówiono przecież że lubił taką włóczęgę pieszą, i taka droga najoszczędniej mu wypadła, bo się lada gdzie na przyźbie pod karczmą przespał, przy zapasach swoich lada czem się przeżywił i chyba na kieliszek wódki grosz jaki wydał. — I tak w podróży człowiek buty drze... — mawiał, ale już tego zawsze pilnował, aby na drogę nowe włożyć, bo mu tu o godność szlachecką chodziło. Wolnomyślnych przekonani był on-to niby i nieraz braci Żegotów tem na siebie obrażał, że wszystkich ludzi równymi sobie zwał, bo się wszyscy jednakowo od Adama i Ewy rodzili, ale w duszy rad był, że szlachecką krew w sobie ma, bo widział w tem pochodzenie od ludzi, którzy nietylko ziemię orząc, krajowi służyli, ale i szablino stare jeszcze za piecami mieli.

Nie znaczyło to przecież, żeby oraniu ziemi postponować chciał, bo był gospodarzem zapalonym, ale gdy sprzątnął, zasiał, ogacił, polatał

budynki przed zimą, wołał: — basta... i nazajutrz nowe buty kładł, torbę brał i do Wilna ruszał — książek sobie kupił...

W starych rzeczach głównie się kochał i umiał je sobie wyszukiwać po księgareńkach na Jeznickiej ulicy, od żydów kolporterów, których wiedział, że koło Świętojańskiej Wieży zawsze znajdzie. Tanio to sobie nabywał, choć czasem, gdy się do czego zapalił, to i zapłacił drożej, byle upragnioną bibułę zdobyć, która potem na długich wieczorach zimowych przy drzazgach czytywał.

Gdy już w jego dworku cicho wszędzie było, gdy ludzie po wieczery porozchodzili się, każdy w swój kąt, on wielki ogień na kominie rozniecił, szczapków smolnych kupę na boku przygotował, aby coraz to jedno polanko na ogień ciskać i na niskim stołeczku przy tym ogniu z miną trzylutnego baszy siadał, aby czytać czasem do zapiiania kogutów. Wirgiliusza całe ustępy na pamięć umiał i recytował je nieraz sam sobie na głos, gdzieś w polu, i ludzie go raz pod słuchali tak perorującego na miedzy, między dojrzewającym żytem, gdzie sobie na kamieniu pod tarniowym krzakiem siadł. Byliby go na pewne okrzykli za charakternika, to jest takiego człowieka, który się ze złem zna i za pan brat z niem rozmawia, gdyby nie to, że co niedziela na chór w kościele szedł i za organistę nieraz, w odpust zwłaszcza, grał, choć się muzyki nigdy nie uczył. Jak do znajomości nut doszedł? trudno było zgadnąć. Przez te kilka lat szkolnych, które w Wilnie przepędził, musiał to sobie od kogoś zdobyć.

Z pozoru wyglądał przecież ten człowiek na borsuka, który z kniei tylko co wyszedł. Nie zbyt urodziwy, a do tego krępy i w barach szeroki, w sukmanie siwej z samodział, tylko że szlachecką już modą niby bekieszka skrojonej, z pasem rzemiennym, w czapce rogatywce na oczy nasuniętej, zwłaszcza, gdy w dobrym humorze nie był, miał minę prostaka i gbóra. Na Kościeszkę teraz wiele się gniewał, że go w tę sprawę panów wmieszał, lecz w Kołobielu już się trochę udobruchał i wyjechawszy zamtąd zaraz za wrotami dziedzińca, towarzyszewi powiedział, że ci, to jacyś jeszcze niezgorsi ludzie. Ale w Rudawicy, to już całkiem zmięknął, choć i tu z marsem na czole naszożony jechał. Zaraz gdy stary, zakłęszający się w ziemię dwór zobaczył i podworzu, do polanki lesnej podobnej, okiem objął, rozpogodził się. — A! zawołał tu mój panie jakoś miło, miło... A sadyba stara... pradziadowska...

Potem podobali mu się tak samo ludzie. Przeciwno Stanisławowi był z góry źle uprzedzonym, iż ekonomując, takie fiomy miał, aby z jaśnie panami do pojedynku dochodził. — Znać osioł jakiś; mówił, dodając, żeby mu najpierw sto plag na dywanie za to dał, iż się drze tam, gdzie go nie potrzeba, a potem trzy dni o chlebie i wodzie trzymał, aby poszcząc, rozumu się nauczył. — O takiego Kalinowskiego się ocierać, z takim Kalinowskim do kłótni przyjść... ot osioł i koroniarz jakiś głupi.

Zły był, że p. Romanowi sekunduje, ale w takiej sprawie posługi honorowej komuś odmówić, to trzeba mu już powiedzieć, że się z nim nic do czynienia mieć nie chce, a tu jeszcze tak być nie mogło, bo nic takiego do zarzucenia mu nie było, coby mu podobne postąpienie usprawiedliwiała.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 31 Maja 1888 r.

Stan ogólny. — Wystawa XVIII w. — Wielka doroczna wystawa sztuk pięknych. — Polscy artyści na tej wystawie. — Szkoła francuska. — Literatura, nowe książki. — Sławna *Inwazyja niemiecka*, przez generała Boulängera — Geneza tego *geschäftu*. —

(Dokończenie).

Możemy się pocieszyć, patrząc na obrazy p. Styki. Chociaż z zasady i przekonania nie lu-

bię, aby nasi malarze zajmowali się Rzymianami, mając swoich, ale muszę wyznać, że to spotkanie hulaszkiej rzymskiej drużyny, z pogrzebowym konduktem, na takiej Via Appia, czy innej, jest to jeden z tych obrazów, co właśnie budzą żal głęboki: czemu taki artysta ucieka od swoich, umiając tak dobrze przemawiać do serca i oczu? A wolę, już wclę, jego własny portret z panią Stykową podrękę. Artysta błądzi wśród ulic Paryża zasypanych śniegiem. Są oni, jakby dwoje ptasząt z polskiej ziemi, wśród tej zawiei paryskiego bruku. To prawdziwy obraz nas wielu. Chcę się biedz ku nim, aby uścisnąć serdecznie i zawołać: Jak się macie, dzieci!

Ażebym skończyć z wybrnymi, to jeszcze pozwolę sobie słów kilka o rzeźbiarzach. Piękna to prawdziwie i wspaniała ta grupa marmurowa p. Cypryana Godębskiego; wprowadziła mnie tylko w błąd na pierwszy rzut oka. Ów silny olbrzym dławiący w swych potężnych barach wiotką, delikatną postać skrzydlatego młodziana, wydał mi się Jakóbem walczącym z aniołem. Omyliłem się, jest to, jak powiada katalog: „Siła dławiąca geniusz“; ale, niech sobie jak chce będzie, artysta ten, znany już z tylu dzieł niemałej wartości i z pięknego, niestety! projektu na pomnik Mickiewicza, tu podniósł się wyżej jeszcze — i ta grupa, jako czystość nieposzlakowana linii skulpturalnej, jako uczucie prawdziwości, modelowanie, przypomina najlepsze pomniki rzeźbiarstwa z czasów Odrodzenia, a gdyby mi wolno było, zachowując wszelką miarę porównania, wyrazić co myślę, powiedziałbym, że to dzieło p. Godębskiego przypomina energią i śmiałością Michała Anioła.

Piękny biust gipsowy p. Marcinkowskiego daje nam przeświadczenie, że młody, wielkich nadziei rzeźbiarz nie zasypia na dawnych swych laurach, że pracuje pilnie, i że się posuwa naprzód.

Skończę ten przegląd moich wybranych na p. Jasińskim rytowniku. Pierwszy on jest, co mi przypomniał żywo biednego nieodżałowanego Redlicha! Jego portret Wiliama Warhama, arcybiskupa z Canterbury, sztychowany według Holbeina, jest to rzecz znakomita, pod każdym względem. Sam sposób sztychowania, przypominający najlepszych mistrzów, jak Alberta Dürera i innych, stanowi już niemałą zaletę, a choć czasem ryłec jest trochę może za ostry, ręka za ciężka — są to jednak małe usterki, które czas i praca złagodzą; tymczasem widoczna wierność w oddaniu niezmierniej czystości rysunku Holbeina i głębokie przejęcie się oryginałem, wskazują nam, że p. Jasiński ma w sobie siłę i styl prawdziwego rytownika. Mieliśmy kilku naszych rodaków, którzy w tej mierze wysoko zasłali. Jest to może znakiem, iż mamy potem wrodzone zdolności, a po nieodżałowanym, jak mówiłem, Redlichu, pocieszającą jest rzeczą widzieć, że nowy szermierz występuje naprzód i z całą godnością i zdolnością podnosi upadły ryłec polskiego rytownictwa. Nie szczędzę pochwał dla młodego artysty — a pragnąłbym, aby i inni nie zapomnieli o nim — bo w tej mistrzowskiej, a tak trudnej karcie, którą nam dziś podaje p. Jasiński, widzę ręką niezwyklej przyszłości artystycznej. Należy mu się zatem uznanie i zachęta i można być pewnym, że kto tak umie oddać Holbeina, ten nie ustanie w połowie drogi.

Co do szkoły miejscowej, co do Francuzów, nie czekają oni bynajmniej na nasze pochwały, a nasze sądy, jak i sądy świata całego, ustąpią zawsze w ich oczach, przed tem, co oni sami mówią o sobie: a więc *za się!* Jedno tylko zaznaczyć należy, że od lat kilku, żadna nowa osobistość nie wyszła tu na scenę, tu, gdzie się zwykle ludzie tak skwapliwie i gorąco rzucają naprzód. *Homo novus*, jeszcze się nie zjawił, a ci, którzy porośli w pierze i dawno z gniazda wyfrunęli, nie nam nowego nie dają.

Na tej wystawie nie braknie wcale tych imion malarzy i rzeźbiarzy, które spotykamy na wszystkich wystawach od lat 20-tu. Tacy artyści, jak: Bouguéreau, Bréton, Cabanel, Carolus Duran,

Détaille, Gérôme, Hebert i t. d mają zapewne swoje znaczenie, i o ileż bylibyśmy dumni, gdybyśmy ich mieli za swoich! Ale dla Francji tego nie dosyć, iż się zdobyło *imie!* Tu, potrzeba iść ciągle i ciągle naprzód, bez opóźnienia, się bez zatrzymania; bo kto przystanie, zachwieje się, ten już upadły i dobitny człowiek!

Otóż pomimo tych-wszystkich wielkich i szumnych nazwisk, niema nic na tegorocznej wystawie, co by mogło porwać duszę i serce widzącego; co by mogło zdobyć sobie poklask powszechny...

Zapowiadają już i zaznaczają zgóry nagrodę złotego medalu dla p. Benjamin-Constant'a, za jego ogromne dekoracyjne płótno, przeznaczone dla nowej Sorbonny! Widzę i ja i widzą wszyscy, czego tu braknie w tym obrazie, nie tyle obrazowi, ile artyście; ale powiadają, że do medalu to na niego przysła kolej. A więc dawajcie mu medall! Tu dopiero się sprawdza, to, co powiedział na swym jubileuszu niezapomniany Kraszewski: — „Nie zasłużony, ale szczęśliwy bierz!” Znajduje się tu nie jeden obraz, małych rozmiarów, ale w którym jest nieskończenie więcej artysty i zasługi, niż w tem ogromnym płótnisku, gdzie niedostatki wołają o pomstę! Jak w również ogromnym *Śnie Détailla*'a. Co za pomysł! Pole zaślane śpiącymi żołnierzami, noc, a w powietrzu mkną szyki zbrojne, zwycięzkie, zdobywające zapewne Alzacyą i Lottaryngią. Patriotyczne to może, ale artystyczne—nie!

I tak mógłbym rąbać bez końca, ale oto nas zatrzymuje portret w całej wielkości kardynała Lavigerie, Bonnat'a. Portret, ten może, nie jest bez *ale,* lecz mamy w nim dzieło mistrza, który w swoim rodzaju, jest rzeczywiście znakomitym malarzem. Nie wchodząc w drobne szczegóły wykonania, powiedzmy, że całość tego portretu przedstawia się wspaniale i uderza potężnie. Wrażenie, jakie odbiera patrzący, daje mu uczuć wyraźnie, że ten sędziwy prałat to prawdziwy książę księcia; że purpura, która go okrywa, to spuścizna tych wielkich mężów, co to w męczeństwie własną krwią zabarwili kapłańskie szaty! Układ jest prosty i skromny, stosownie do zwyczaju tego malarza. Na tle, jak zwykle w portretach Bonnat'a, ciemnem, jednostajnem, wychodzi potężnie i jasno postać kardynała. Siedzi on przy stole, założonym papierami i książkami; w prawej, spuszczonej ręce trzyma pióro, ten miecz dzisiejszych apostołów. Całość, powiadam, prosta, ale niesłychane czyny wrażenie, tyle prawdy i artysty malarz zgromadził w tem dziele. Jest jeszcze drugi portret tegoż malarza, małych rozmiarów, bo tylko popiersie; portret to Juliusza Ferry'ego. I tu artysta pozostał, jak go przeważnie: „fotografem palety”. Na tych dwóch płótnach jest też też zupełne przeciwieństwo dwóch ludzi. We wzroku Ferry'ego o niepewnym spojrzeniu; w tych, jakby rozlanych, rysach twarzy, w tem skrzywieniu wstrętne, źle zarysowanych ust, poznasz łatwo, charakter wiotki, a tam widzisz silnego ducha ujętego w piękną twarz starca. Artysta dokonał dzieła sumiennie i te dwie karty historii zostaną!

Nim skończę, zatrzymam was jeszcze przed obrazem, portretem panny Teresy Schwartze, Hollenderki. *Semet ipsa fecit.* Portret jest przeznaczony do galerii florenckiej, *de Uffici*; takiej brawury, takiego wdzięku kolorytu, takiej biegłości pędzla, dawno już nie spotkałem. Tem mi jest miłsze to wyznanie, że malarzem jest młoda i wcale wdzięczna kobieta. Wszystko się więc tu łączy: talent i uroda.

Brak wybitnej indywidualności w rzeźbiarstwie nie zostawia pola, ani do zbytniego zachwytu, ani do gwałtownej krytyki. Mierność przeprowadziła tu wszędzie swój nieublagany strychnielec. Nic nie zostaje prawie, co by mogło podnieść głowę nad poziom powszechny.

Ogromny ciężki czworobok podstawy, unoszący na wierzchu zbyt małą postać kłęczącego króla—to pomnik, przeznaczony dla uczczenia w Bretanii pamięci brabiego Chamborda, który jak dość złośliwie zauważył jeden z republikańskich dzienników, na kłęczkach prosi o przebaczenie, że był za małym do tak wielkiej roli.

A teraz jeśli z całym chórem przyjaciół powtórzmy, że p. Falguière'a, *Polująca Nimfa*

(po raz już trzeci w Salonie) jest niezmiernie wdzięcznym dziełem tego artysty—będzie to już ostatni okrzyk, wydany na cześć tegorocznej wystawy. Tysiąc kilkadziesiąt posągów i popiersi. Czwarta część przynajmniej z marmuru. powtarzająca się corocznie, a więc pięć tysięcy kosztownych wyrobów rzeźby, poszło w świat, poszło tak, że oprócz kilku znanych w Paryżu, reszta, jak w proch rozsypa, tak znikła z oczu! Strasznie pomysleć o tem, kiedy się jest artystą!

Lepiej nie sprawdzać rachunków, a przejść do literatury, bo tu jeszcze fatalniejsze czekają następstwa... Boże wielki! Gdyby można spojrzeć w tę niezmierną przepaść, w której się pograżyły wszystkie te książki, jakie wydrukowano od czasu brodatego Gutenberga,—bo ta odrobina egzemplarzy pozostała w bibliotekach publicznych, lub prywatnych, nie przeważa tego ogromu, który znikł bez śladu z powierzchni ziemi—jakże straszne uczucie opanowałoby umysł tego śmiertelnika, któremu chciałoby się spojrzeć w tę przepaść! A jednak piszący ciągle drukują ciągle bez końca, a dziś więcej, niż kiedy—*Audax Japeti Genus!*

Owóż, słyszeliście zapewne o sławnej *Inwazyi Niemieckiej*, tak szumnie zapowiedzianej przez Bulanzystów. Rozprzedawana zeszytami po 10 centów, miała ta książka przynieść dzielnemu generałowi 200,000 fr. Jak się dziś okazuje, książka ta nie jest wcale dziełem generała, ale jednego z jego zwolenników, a że to było dobrze skombinowana spekulacyjka, więc generał przyjął na siebie obowiązek napisania do niej przedmowy. Przedmowa, zapowiedziana i otrąbiona, wydrukowana w liczbie 2,500,000 exm. i rozdawana bezpłatnie, otwarła drogę następnym zeszytom po 10 cent.—i miarkując z szeroko puszczonej reklamy i ze wszelkich sposobów zachęty, nie poszedłby w zakład, że to przedsięwzięcie nie zdobędzie owych 200,000 fr. zapowiedzianych z góry. Ale jako książka, przeznaczoną jest ona także do owej przepaści odwiecznej. Żyjemy w czasach, gdy wszystko jest możliwe, a mało co posiada rzeczywistą wartość.

Z PAMIĘTNIKÓW GARIBALDEGO.

(Dokończenie).

Na lagunie dos Pastos uzbrojono dwie szalupy i powierzono je Garibaldiemu, z poleceniem wspierania ruchów armii lądowej. Przedewszystkiem jednak trzeba było z tą miniaturową flotą dostać się na ocean, co znowu przedstawiało niepokonane trudności, ponieważ oba ujścia laguny były mocno ufortyfikowane i strzeżone przez wojska cesarskie. Garibaldi wszakże znajduje punkt wyjścia: umieszcza swoje okręty na wozach ciągnionych przez 25 par wołów i końzyskiem małej rzeczki sprowadza je na jezioro Iramandany, mające wolne ujście do oceanu. Po długiej walce z uporną falą dostaje się wreszcie na pełne morze, nie wważając na groźne przestrogi burzącego się potężnego żywiołu. Dostali się tu drogą, jakiej żaden okręt przed nimi nie przybył, ale ten tryumf nie był zwiastunem zwycięstwa. Nazajutrz lekki wiatr, który dotąd zdawał się żartobliwie wyzywać ich do walki, zmienił się nagle w straszliwy orkan i zmusił zuchwiałych marynarzy szukać ratunku u brzegów nieprzyjacielskich. Lecz mniejszy ze statków, ciężko obciążony „don Pedro“, którym sam Garibaldi dowodził, zostaje nagle przewróconym na bok. Wódz pada w morze ze strzaskanego masztu; nie traci jednak przytomności, chwyta pływając deskę, wiosła, co może, i śpieszy do okrętu na pomoc tonącej załodze i przyjaciółom.

Dzielny marynarz Luigi Caruiglia, któremu Garibaldi niejednokrotnie zawdzięczał pomoc w niebezpieczeństwie, wzywa ratunku, przyczepiony do tonącego okrętu, gdyż ciężki kaftan sukieny, przemokły i sztywny, pozbawia go zupełnie swobody ruchów. Garibaldi, jedną ręką chwyciwszy się okrętu, dobywa noża, ażeby roz-

ciąć ten szczególnie pancerz; lecz w tej chwili olbrzymi balwan przykrywa ich obu, porywając i unosząc okręt w toń niezgłębioną. Garibaldi mówi, iż spadał na dno z szybkością strzały, a kiedy po chwili znalazł się znowu na wód powierzchni, jego nieszczęśliwy przyjaciel zniknął z niej na wieki.

Trzeba więc myśleć o własnym ocaleniu. Dzielny pływak jeden z pierwszych znalazł się na brzegu. Za ledwie jednak uczuł ziemię pod nogami, spostrzegł ukochanego przyjaciela młodoci i towarzysza wygnania, Edwarda Mutru, rozpaczliwie walczącego z falą, gdyż prąd gwałtowny wydarł mu i uniósł ratunkową deskę, przy pomocy której usiłował dostać się do brzegu. Garibaldi bez namysłu rzuca się nanowo w rozlękane fale, śpieszy na ratunek, walcząc siłą ostankiem—nadaremnie! Nowa fala pochłania obydwoh; Garibaldi raz jeszcze wydostaje się na wierzch, ale napróżno wzywa przyjaciela: ten znalazł już spoczynek chłodny i spokojny.

Szesnastu towarzyszy dzieli ten los okrutny, a między nimi sześciu rodaków naszego bohatera. Dzielni, wypróbowani pływacy poszli na dno, ocalało wielu, którzy pływali wcale nie umieli. Napróżno między nimi szuka jednej choćby włoskiej twarzy, rodacy jego nie żyją, wszyscy!—i on sam tylko, sam jeden między obcymi, na obcej ziemi. W tej chwili życie wydaje mu się ciężarem; żałuje, iż nie spoczął wraz z tymi, którzy cierpieć przestali.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad ty epizodem, gdyż miał on wpływ stanowczy na późniejsze losy Garibaldego. Osamotnienie, w jakim znalazł się nagle po śmierci wszystkich współtowarzyszów wygnania i niedoli, osamotnienie to zbudziło drzemiące dotąd pośród burz i zmiennych kolei pragnienia: po raz pierwszy w życiu uczuł brak istoty kochającej, wiernej i nieodstępnej, która by z nim dzieliła radość i cierpienie, tryumfy życia i jego troski codzienne,—słowem: chwilę każdą, myśl i uczucie. Ażby zdobyć takiego przyjaciela, potrzeba lat całych, a on pragnął być kochanym zaraz, natychmiast...

Garibaldi postanowił ożenić się.

Jakież to dziki kwiatek prawdziwej poezyi jego pierwsze spotkanie z Anitą!

Z pokładu „Itaparyki“, którą po rozbięciu „don Pedra“ dowodził, ujrzał na malowniczym schyłku góry wieś Barva. Zachwycony pięknym widokiem, śledzi go przez lunetę i nagle, pośród tysiąca przedmiotów dostrzega dziewczę, które pociąga go ku sobie niepokonanym urokiem. Wsiada do łodzi i każe wieźć się do brzegu. Tu zawija rozmowę ze spotkanym wieśniakiem, który zaprasza go do siebie na szklanekę kawy. Wchodzi do nieznanego domu i pierwsze jego spojrzenie pada na tę, dla której tu przybył. To pierwsze spojrzenie było zarazem piorunem, który wznicił w dwóch sercach nieugaszonego płomienia miłości. Oboje stanęli naprzeciw siebie, jak rażeni gromem, w niemym zachwycie wpatrując się w swe twarze, które nie wydały im się obcemi; jakieś mgliste, niewyraźne wspomnienia snuły się między nimi, coś mówiąc, coś szepcząc o jakiejś nieznanej przeszłości.

Ale pozwołmy autorowi opowiadać samemu:

„Powitałem ją nakoniec, mówiąc: Ty musisz być moja!—Ponieważ słabo znałem język portugalski, wymówiłem te słowa powłosku. Śmiałość moja miała potęgę magicznego zaklęcia. Zawarłem związek, który śmierć tylko złamać była zdolna, znalazłem skarb poszukiwany, skarb nieocenionej wartości.“

„Jeżeli wina popełnioną była — to była *moja wina* wyłącznie. Tak jest: dwa serca i dwa istnienia namiętna miłość złączyła w jedno, łamiąc przez to bezwzględnie życie trzeciej, niewinnej jednostki. Ona umarła, jam zostałam nieszczęśliwym, a on pomszczonym. Tak, pomszczonym. Poznałem winę moją w dniu, kiedy cisnąc stygnącą rękę trupa, płakałem łzami zwątpienia i rozpaczki. Zbłądziłem ciężko, lecz to *ja* tylko zbłądziłem.“

Te niejasne słowa bezwarunkowo potrzebują wyjaśnienia. Garibaldi uprowadził Anitę na swój okręt niezaślubioną, wbrew woli jej ojca, który na drogę życia rzucił córce przekleństwo. Została ona następnie zaślubioną w San Francisco

d'Assisi w Montevideo, jak to potwierdzają urzędowe akta. O tej uroczystej chwili krążą także wzruszające podanie. Garibaldi, nie pobierając żołdu, zmuszony był zapłacić za ślub ceną srebrnego zegarka, jedynej własności, jaka mu po rozbiciu została. Ale przekleństwo ojca zaciężyło nad losem młodej kobiety; nie zdołała pokonać go ani wierną miłością dla męża, ani bohaterską odwagą, ani pełnem zaparcia się poświęceniem.

Od owego dnia pamiętnego młoda Brazylianka zostaje nieodstępna towarzyszką swego małżonka; „walki i niebezpieczeństwa stają się dla niej dziecinną igraszką, obozowe trudy, rozrywką codziennego życia.“ W nieobecności męża ona pierwszym wystrzałem armatnim wita nieprzyjacielską flotę; ona jest opatrnością rannych, odwagą i energią upadających na duchu; ona powstrzymuje zbiegów, staje z karabinem w szeregach walczących, lub pełni służbę adjutanta pośród morderczego ognia nieprzyjacielskich baterii. Dziś błądzi po polu bitwy, szukając wśród trupów zwłok ukochanego; jutro ucieka z niewoli na koniu i, trzymając się grzywy, przepływa wzburzone fale wezbranej rzeki. W ubogiej chacie wydaje na świat swego pierwotnego syna, Menottiego, a bliźna na czole dziecka przypomina jej ciężki upadek z konia. W kilka dni później, podczas nieobecności Garibaldeggo, oddział nieprzyjacielski, pod wodzą okrutnego Moringua, wpada do jej schronienia, niosąc śmierć i pożogę. Odważna kobieta ucieka konno do lasu, pośród szalejącej burzy, trzymając przed sobą na siedle dwunastodniowe dziecko. To znowu wraz z rozproszonym oddziałem Garibaldeggo błądzi w dzikiej puszczy, o głodzie, po stromych skałach, podczas ulewnego deszczu, pośród dzikich i krwi cheiwych plemion indyjskich.

Trzymiesięczny Menotti w sukienym worku wisi na szyi ojca, który usiłuje go rozgrzać własnym oddechem.

Z tą samą odwagą podziela zawsze zmienne szczęście męża, które każe mu zostać handlarzem bydła, prywatnym nauczycielem matematyki, malarzem, to znowu twórcą i wodzem sławnego włoskiego legionu w Ameryce. I nic dziwnego, że taka kobieta zbudziła w duszy męża niezachwianą wiarę i przekonanie w wyższość i doskonałość natury kobiecej. „Tylko przygniatające brzemień wychowania zabija w nich i tłumi bogate dary ducha, rzadko kiedy pozwalając im rozwinąć się w kwiat niezemskiej wspaniałości.“

To dzikie, wolne, niezmiernie szczęście wspólnego życia i wspólnego działania nie trwało jednak długo. Anicie grozi straszliwa rywalka, której najłżejsze skinienie, wydrze z jej objęć męża i bohatera: to Włochy! Gdyż „Włoch nie daje się uwieść cudom obcej mu ziemi i obcej natury; on nie zapomina tak łatwo, jak synowie północy, swojej uroczej ojczyzny; on na obczyźnie wrasta w grunt nowy, nie aklimatyzuje się wcale, lecz wegetuje, trawiony tęsknotą i palącym pragnieniem walki w obronie własnego kraju.“

Na pierwszą wieść o ruchach i walkach we Włoszech, Garibaldi przewiózł swój „włoski legion“ przez ocean i złożył tyłu zwycięzcy wstawioną szpadę u nóg Karola Alberta Sabaudzkiego, który przed czterdziestu laty wydał nań był wyrok śmierci. Anita z dziećmi pośpieszyła za nim, z gorączkową niecierpliwością dążąc ku nieznannej ziemi, która miała dla niej—grób tylko. W pamiętnikach Garibaldeggo spotykamy się z nią dopiero podczas odwrotu z Rzymu, dokąd wbrew woli męża podążyła za nim. Po raz ostatni dzieli wraz z mężem niebezpieczeństwa odwrotu walecznej, lecz zdziśiatkowanej garstki, przemierzającej się pośród francuzkich i austryackich armii, pod palącymi promieniami południowego słońca, przez dzikie wąwozy, trzęsawiska i błota, których zaraźliwe wyziewy gorsze od spustoszenia kul nieprzyjacielskich szeregów zgłodniałych, znużonych i wyczerpanych szeregów. Pomiędzy tymi skazanymi na śmierć nieuniknioną, znajduje się kobieta, znużona, jak oni, jak oni wyczerpana trawiającą gorączką i febrą, słabsza może ciałem, ale od wielu silniejsza duchem i wiarą. W mężkiem przebraniu,

dzień cały na koniu, pomimo zbliżającej się chwili macierzyństwa, nie skarży się ani wyrzeka. Nie mogąc być pomocą w sprawie, której się mąż jej poświęcił, nie chce być przynajmniej ciężarem, ani przeszkodą. Raz jeszcze tylko burzy się mężka jej dusza, kiedy nad samą granicą San Marino straż tylna drobnego oddziału pierzcha na widok austryackich mundurów. Waleczna kobieta, wraz z angielskim oficerem Forbes, przecina drogę uciekającym i zmusza ich do powrotu.

W pobliżu Adryatyku, na granicy prawie ówczesnego Państwa Papieżkiego, wznosi się góra Titano, na szczycie której leży starożytna republika, ufortyfikowane miasteczko San-Marino. Na tym neutralnym gruncie nieszczęśliwi przesładowani spodziewali się znaleźć chwilowe schronienie i wypoczynek. Złożywszy broń u bram miasta, zostali rzeczywiście przyjęci, lecz nie na długo: małe państwo nie mogło się odważyć na udzielenie im stałego przytułku. Garibaldi odrzucił wszelkie układy i z małą garstką wiernych postanowił przedrzeć się do Wenecji. Wobec trudności wykonania zuchwałego zamiaru błagał Anitę, aby pozostała w gościnnym mieście, gdzie zapewniłom miała bezpieczeństwo i opiekę życzliwych mieszkańców. Lecz ona nie chciała słuchać o rozstaniu; a gdy mąż usiłował przekonać ją o konieczności tej chwilowej rozłąki, uczepiła go się z energią rozpacz i wszystko, co biedne jej serce wycierpiało od chwili pierwszego rozstania się w Ameryce, zawarła w tym jednym, pełnym namiętnej boleści okrzyku: „Widzę, ach widzę, że chcesz mnie porzucić!“

Trzeba było ustąpić i tejże samej nocy chora kobieta, w której nurtująca dotąd gorączka wybuchnęła z całą gwałtownością, została zaniesioną po trudnej do przebycia górskiej drodze w dolinę. Następnej nocy dotarli do Cesenatico, i tu udało się Garibaldiemu szczęśliwym trafem oparować trzynaście łodzi, z których utworzył małe flotę i pomimo wzburzonego morza miał nadzieję dostać się na niej do Wenecji. Tymczasem Anita cierpiała niewypowiedzianie i nie było pod ręką żadnego środka, któryby mógł przynieść ulgę jej cierpieniom, nie było nawet wody, którąby mogła zaspokoić palące pragnienie. Dzień cały płynęli w pobliżu brzegów włoskich, korzystając z pomyślnego wiatru; gdy jednak późnym wieczorem wspaniałą księżyc w pełni ukazał się na ciemnym błękitnie, Garibaldi zsunął brwi z niechęcią i pełne niepokoju spojrzenie zwrócił ku brzegom ojczystym.

Obawy jego nie były płonne. W srebrzystym świetle księżyca, cicho spływającym na wodne przestrzenie, małe flota stanowiła punkt ruchomy, widzialny z daleka. Wkrótce też dostrzeżoną została z okrętów austryackich, które ją niezwłocznie zaatakowały. Garibaldi, głuchy na huk dział, jak strzała pomknął naprzód, usiłując przesunąć się pomiędzy brzegiem i nieprzyjacielską eskadrą; lecz towarzyszący mu zabrakło odwagi; cofają swe łodzie w popłochu, a wódz nie chcąc opuszczać ich w tej ciężkiej godzinie, cofa się wraz z nimi. O świcie cztery ostatnie czołwa, otoczone dokoła, spieszą ku lądowi, szukając na nim ocalenia. Reszta drobnego oddziału spoczywa w czystych falach Adryatyku lub znajduje się w mocy nieprzyjaciół.

„Położenie moje było okropnem — pisze Garibaldi — za nami wróg nieubłagany, przed nami brzeg niegościnnie, gdzie prawdopodobnie prócz austryackich, oczekują nas bardziej roznamiętnione oddziały papieżkie, na mojem ręku konająca żona.“

„A jednak trzeba było wylądować. Wyniosłem na brzeg drogą moją towarzyszkę i złożyłem na ziemi. Towarzysze spojrzeniem pytali mnie o radę, o rozkazy. Polecilem im rozproszyć się i pojedynczo szukać ocalenia. Dla mnie ratunek był niepodobieństwem: nie mogłem pozostawić umierającej żony.“

W ten sposób rozłączył się Garibaldi ze swymi najwierniejszymi towarzyszami: Hugonem Bassi, zacnym kapłanem i walecznym żołnierzem, oraz Cycernachio, który wraz z dwoma synami

nie odstępował go dotąd—młodszy z tych synów miał dopiero lat 16! Nieszczęśliwi wszyscy dostali się w ręce nieprzyjaciół i ponieśli śmierć męczeńską za sprawę wolności. Gdy o tem pisze włoski patriota bohater, z pod pióra jego wyrwa się okrzyk bólu i wściekłości.

Pozostawszy sam z żoną i jednym tylko nieodstepnym, wiernym towarzyszem na bagnistym brzegu, Garibaldi nie wiedział co począć. Nakoniec zdecydował się wysłać ostatniego przyjaciela na zwiady. Ten powraca wkrótce, prowadząc z sobą jednego z lepszych oficerów i przyjaciół Garibaldeggo z czasów pierwszego opuszczenia Rzymu, porucznika Nino Bonnet, który, będąc właścicielem niewielkiej posiadłości wiejskiej w pobliżu, na odgłos strzałów armatnich, domyślił się wylądowania Garibaldeggo i spieszył mu z pomocą. Przeniesiono Anitę do najbliższej chaty, gdzie mogła przynajmniej zaspokoić dręczące ją pragnienie. Lecz nieprzyjaciel trafil na ich ślady: trzeba uciekać dalej. Pod groźbą największego niebezpieczeństwa przeniesiono chorą do domu siostry Bonnet, gdzie zbiegowie zostali serdecznie przyjęci, ale i tutaj nie mogli pozostać dłużej. Z największym trudem i niebezpieczeństwem udało się wreszcie Bonnetowi ułatwić im ucieczkę przez dolinę Comachio. Złożono Anitę na prostym wozie, wysłanym na prędce materacami i wieziono ją nocą do Mandriola pod Sant-Alberto. Podróż trwała do południa dnia następnego. Przybywszy do tej wsi, Garibaldi zajął się niezwłocznie odszukaniem doktora, błagając go o ratunek dla umierającej. Kiedy jednak wnoszono Anitę po ciasnym wschodach na materacu, zagasła ostatnia iskra życia tej niepospolitej kobiety. Składając ją na łóżku, Garibaldi uderzony został dziwnym wyrazem jej twarzy, chwytła za puls, lecz ten już nie bije; jego gorącą ukochaną Anita, matka jego dzieci—nie żyła.

Tak skończyła Anita Ribeira Garibaldi, dnia 4 Sierpnia 1849 roku, jak biedna sarna ścigana przez krwiządnych myśliwych. Nieszczęśliwy mąż zamknawszy na zawsze ukochane oczy, zmuszony był coprędzej oddalić się z gościnnego domu, któremu dłuższy jego pobyt groził niebezpieczeństwem. Poruczywszy obecnym oddanie ostatniej posługi zmarłej, zrozpaczony i napół przytomny, z jednym tylko przewodnikiem puścił się w dalszą, pełną niebezpieczeństw drogę. Czas naglił, austriaccy żołnierze otaczali już dom i zagłądali przez okna.

Na tem się kończy najbardziej zajmująca część pamiętników. Następują nowe przygody i zmiany losu, nowe cierpienia i walki; następuje nieśmiertelny bohaterski poemat o „tysiącu z Marsala“, ale gorący prąd patriotyzmu zaciera już zupełnie wszelkie osobiste cechy, pragnienia i cele. Zaledwie od czasu do czasu jakaś postać występuje wyraźniej; nawet gdy mówi o własnych synach, uważa ich głównie jako żołnierzy, walczących pod jego sztandarem, i według tego ich ceni „jak każdego innego“. Nie spotykamy się także więcej z żadnym kobiecym imieniem. Wiemy, iż w życiu Garibaldeggo było inaczej, lecz to milczenie dowodzi, iż pojmował on przepaść dzielącą pierwszą miłość od następnej; do nieśmiertelności powołał z sobą tylko Anitę.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Życie zmieniło redaktora. Po usunięciu się Miriama kierunek literackiej części objął p. Stanisław Rzętkowski.

— P. Karłowicz rozpisał w *Głosie* konkurs na historyczną, lub obyczajową powiastkę dla ludu, objętości 3—4 arkuszy druku. Nagród jest dwie, po rs. 100 przy równej wartości dwóch powiastek. W razie gdyby jedna zaznaczała się wyższymi przymiotami, otrzyma rs. 120, druga 80 rs.

— O Afryce podzwrotnikowej mówił w Resursie Obywatelskiej p. Aleksander Jawornicki, w d. 8 i 9 Czerwca. Głos dźwięczny i donośny, język piękny i malowniczy, przy żywości dykcji,

oddającej wrażenia, doznawane osobiście, uczyniły oba wykłady bardzo zajmującymi. Prelegent, który nie mało obcował z krajowcami, był w ich chatach, przebywał rzeki w ich pirogach, i poznał dokładnie warunki ich handlu z Europejczykami, wykazywał, że umysłowe władze Murzynów są o wiele wyższe, niż to utrzymują niektórzy podróżnicy. Przecież ich pojęcia religijne są na bardzo niskim stopniu grubego fetyzizmu, przewaga złego nad dobrem, panuje w ich wierzeniach, i ztąd Bogi źle odbierają od nich owiele więcej czci i modłów, niż Bogi dobre.

— **Barbarzyńska zabawa** strzelania do gołębi, której moda wyszła z Monte Carlo, ukazała się i u nas na wyścigach d. 7 Czerwca. Miała trzynastu amatorów, którzy zastrzelili 100 gołębi. Nie wiadomo nam jak tu urządzonem to było, przecież zwykle rzecz ta odbywa się w sposób tak okrutny, że *Towarzystwo opieki zwierząt* powinno by wziąć tę sprawę do serca. Aby zmusić gołębia do szybkiego wzlotu w górę, wyrwywają mu piórka z ogona i miejsce posypują mialkim pieprzem, a dla przeszkodzenia zbyt szybkiemu odlotowi łamią mu w pewnych miejscach lotki, przysięm wykluwają jedno oko, lub nawet obydwie. Chcąc, aby gołąb kierował się w stronę prawą, pozbawiają go lewego oka, prawego zaś w razie przeciwnym, gdy ma lecieć nalewo. Aby leciał spłoszony, bez kierunku, wykluwają oba. Gołębie, spadające na ziemię, są natychmiast rozszarpywane przez psy, ułożone do tego. W Anglii nie dał się rozszerzyć tej zabawce Księżka Walii, w czem dopomagała mu żona, usuwająca ze swego towarzystwa panie biorące w niej udział.

— **Uczczenie pamięci** dwóch malarzy, zmarłych we Lwowie: Andrzeja i Wojciecha Grabowskich, zajmuje teraz sfery artystyczne Lwowa i Krakowa. Płyta marmurowa z medalionami bronzowymi w pośrodku, zostanie umieszczoną na jednym z filarów kościoła Ś-go Andrzeja we Lwowie. Rzeźbę portretów wykonają rzeźbiarze tamtejsi: Dykas i Barącz. Na czele komitetu, zajmującego się tą pocziwą sprawą i przyjmującego składki, stoi p. Juliusz Starkel. Siemiradzki ofiarował na ten cel dochód dwudniowy z wystawy swych obrazów, która właśnie odbywa się w Lwowie. Juliusz Kossak przysłał bardzo piękny obrazek, a Kazimierz Pochwalski szkic już cenny.

— **Uniwersytet Lwowski**, zaproszony przez senat Uniwersytetu Bolońskiego na obchód ośmsetletniej rocznicy jego trwania, wysłał tam dwóch delegatów: D-ra Piętaka i d-ra Cwiklińskiego, z adresem łacińskim, który w imieniu wszechnicy lwowskiej napisał dr Cwikliński. Dr Piętak wiezie dzieło swoje: „O prawie spadkowym rzymskim“, dedykowane Uniwersytetowi Bolońskiemu, jako najstarszej i najslawniejszej szkole prawniczej. Jedzie tam również trzech akademików lwowskich, reprezentując kolegów swoich, ponieważ akademicka młodzież bolońska zaprosiła młodzież lwowską.

— **O Janie Kochanowskim** przez St. Tarnowskiego napisane studjum ma wkrótce wyjść z druku w Krakowie.

— **Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego** został na rok 1888/9 dr Fr. Kasperek, prof. filozofii prawa w tymże uniwersytecie.

— **Towarzystwo historyczno-literackie** w Paryżu odbyło doroczne swe posiedzenie w sali biblioteki Towarzystwa, w d. 3 Maja. Zagaił je dr Felix Michałowski, zastępując nieobecnego ks. Wład. Czartoryskiego. Sekretarz Towarzystwa, dr Gadon, odczytał sprawozdanie, wykazujące, że Towarzystwo liczy członków 87; dochód jego roczny był 24.685 fr.; rozchód 16.905 fr. zatem pozostało w kassie rewanentu 7.179

fr. Roczny przyrost biblioteki wynosił dzieł 504, w 698 tomach; broszur 208, zeszytów 179.

— **W Ameryce** zawiązała się pierwsza truppa teatralna polska, która występowała z powodzeniem w S-t Paul i zdaje się mieć zapewnione sobie istnienie trwałe. W Detroit powstała pierwsza szkoła polska cywilna, dotąd bowiem szkółki istniały jedynie przy parafiach i kościołach. Związek centralny wychodców w Detroit miał w pierwszym kwartale b. r. dochodu 9.569 dolarów, rozchodu 6.637. W rubryce dochodów mieści się podatek nadzwyczajny na seminaryum duchowne w Detroit także; wniesiono go w kwocie 276 dolarów. W d. 1 Kwietnia Związek liczył 97 grup, a 3.649 członków. Sześć nowych grup złożyło deklaracyą, objawiającą chęci przystąpienia do Związku. Funduszu pośmiertnego wypłacił on w ubiegłym kwartale 5.340 dolarów, osobom 15 w kwotach po 250 i 500 dol. Składka na skarb wpłynęło 695 dolarów.

— **Wiadomość o Stanleyu**, pochodząca z listu majora Bartelot'a, pisanego z Zanzibaru d. 25 Października zeszłego roku, w miejscowości Singabii nad rzeką Kongo, podaje odnaleziony kierunek jego drogi. Bartelot, który dążył śladem Stanley'a, spotkał zbiegów z jego wyprawy, według których jest on zdrów i ma się dobrze, tak jak i cała wyprawa. Zapasy żywności posiada znaczne, tylko królik miejscowych plemion, Tippu Tippa, zrazu przyjazny mu, obecnie zaczyna zmieniać usposobienie.

— **Połączenie Anglii z Francją** mostem rzuconym przez cieśninę La Manche, jest bliżkiem urczywistnienia. Plan już został wypracowany przez inżynierów Creuzot i Gersau. Długość jego będzie 30 kilometrów, łuki środkowe będą się wznosić nad poziomem morza na 50 metrów wysokości, zatem największe parostatki

będą mogły przepływać pod niemi. Koszta przedsięwzięcia mają wynosić ogromną sumę 800 milionów franków. Towarzystwo, którego to jest przedsięwzięciem, zwróci się o koncesyą do rządów Anglii i Francji, skoro technicy komitetu budowy plan przyjmą.

— **Wyspa Palmerston**, położona na Oceanie Południowym między 18° 50' szerokości południowej a 164° 13' długości zachodniej, uważaną była jako niezaludniona, gdy statek australijski: „Queen's Island“ przepływając mimo, dostrzegł kódkę, odbijającą od jej brzegów i śpiesznie wiosłującą w stronę statku. Była tam grupa ludzi, a między niemi człowiek biały — Anglik. Przed dwudziestu pięciu laty uciekł on z okrętu angielskiego, stojącego na wodach Tahiti, dostał się na wyspę pustą, gdzie blisko lat 3 przebywał samotnie, przecież potem zdołał skomunikować się z mieszkańcami wyspy najbliższej, ożenił się, jest ojcem jedenastu synów i czterech córek; razem wyspa, którą uprawia i którą zagał drzewami kokosowymi, liczy 33 mieszkańców. Wszyscy oni mówią dobrze poangielsku, ulegają władzy i kierunkowi europejskiego jej pana, który się zowie Wiliam Marston. Zateknął przecież za ludźmi swego plemienia, pragnął obaczyć choć raz ziomek, lecz siedziby swej, rodziny i bytu, do jakiego przywykł, opuścić już nie chciał.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI HISTORYCZNYCH JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO przedstawiających w formie powieściowej Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

W ciągu roku wychodzi 20 tomów (przeszło 200 arkuszy)

Wydawnictwo to rozpoczęło się w Styczniu r. b.

Obecnie wyszły z druku tomy 1 do 9-go włącznie i zawierają

Powieści osnute na tle historycznym IX do XII wieku pod tytułem:

STARA BAŚŃ. BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.
LUBONIE. M A S Ł A W.

W roku bieżącym wyjdą jeszcze powieści: **Boleszcyce**, 2 tomy. — **Królewscy synowie**, 4 tomy. — **O Petru Właście**, 2 tomy. — **Stach z Konar**, tom I i II.

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wynosi rocznie (za 20 tomów) rs. 7 kop. 20, z przesyłką rs. 8 kop. 80; półrocznie (za 10 tomów) rs. 3 kop. 60, z przesyłką rs. 4 kop. 40; kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2 kop. 20. W Warszawie opłacać też można miesięcznie po kop. 60.

Tom w prenumeracie wypada tylko kopiejek 36.

tym sposobem wydanie to rzeczywiście taniem nazwane być może.

Przez prenumeratę nabycie jeszcze bardziej jest ułatwionem.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

MICHAŁ GLÜCKSBURG, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

TREŚĆ: Pogawędka. — Do rodziców, (dokończenie). — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniausa. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Z pamiętników Garibaldeggo, (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-my powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — Przegląd mód. — 44 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.